

Jerzy Sokołowski

Do wielkiej chemii maszynowa droga

...Produkcja przemysłu chemicznego znacznie wyprzedzi pod względem tempa wzrostu produkcję pozostałych gałęzi...

(Z Tez na IV Zjazd Partii)

Ponad 3,5-krotny wzrost produkcji tworzyw sztucznych, 3 razy więcej nawozów mineralnych, środków ochrony roślin, wydatny wzrost wyrobów farmaceutycznych, kosmetyków, artykułów przetwórstwa chemicznego, uruchomienie produkcji nowych artykułów i surowców — oto niektóre tylko elementy wielkiego „skoku” jaki nasz przemysł chemiczny powinien wykonać w najbliższym 5-leciu.

Główne kierunki rozwoju chemii wymagają przede wszystkim umocnienia i dalszego intensywnego rozwoju podstawowej bazy produkcyjnej, a więc maszyn i urządzeń. Bez nich nie może być mowy o realizacji programu postawionego przed naszą gospodarką przez XV Plenum Komitetu Centralnego Partii.

Produkować czy importować?

Chemia jest przemysłem na wskroś nowoczesnym. Maszyny i urządzenia, jakie w nim pracują, muszą stanowić rzeczywiście osiągnięcia współczesnej techniki. Wieksość aparatury oparta jest na systemie automatyki, elektroniki, systemie czujników, przewodników, specjalnych linii technologicznych itp. Zaopatrzyć fabryki i kombinaty chemiczne w tego rodzaju aparaturę i urządzenia może jedynie dobrze rozwinięty przemysł elektro-maszynowy, posiadający odpowiednie zaplecze surowcowe, bazę maszynową oraz wyszkoloną kadrę konstruktorów, inżynierów i techników.

Rozwój naszej chemii, „skok” w dziedzinie produkcji, postawił więc przed naszym przemysłem ciężkim niełatwe zadanie maksymalnego pokrycia zapotrzebowania chemii na różnego typu i rodzaju nowoczesne urządzenia. Do niedawna fabryki przemysłu ciężkiego dostarczały chemii przeszło 30 tysięcy ton aparatury rocznie. Nie pokrywało to w pełni zapotrzebowania tego przemysłu i znaczną część urządzeń importowaliśmy z zagranicy, głównie z Zachodu.

Powstało więc pytanie: rozwijać import, czy też skoncentrować znaczny wysiłek produkcyjny przemysłu maszynowego na zaopatrzeniu chemii?

Odpowiedź przyniosła rozwijająca się w przemyśle ciężkim dyskusja nad Tezami przedzjazdowymi: będziemy produkować sprzęt i aparaturę

ture chemiczna w ilościach nie tylko pokrywających zapotrzebowanie krajowe, ale i umożliwiających znaczny eksport tych urządzeń! Realność tych postanowień zapewniają niezbędne zmiany organizacyjno-techniczne, pełniejsze wykorzystanie bogatego parku maszynowego, surowców oraz wiedzy i doświadczenia kadry inżyniersko-technicznej.

W jedności siła...

Produkcja aparatury i urządzeń dla potrzeb chemii zajmowały się dotychczas fabryki podległe różnym resortom, między innymi samej chemii, budownictwu oraz przemysłowi ciężkiemu. Obecnie zakłady te skupione zostały w jednym Zjednoczeniu Przemysłu Budowy Urządzeń Chemicznych należącym do MPC. Wśród nich znalazły się fabryki i zakłady w Nysie, Tarnowskich Górach, Świdnicy, Kielcach, Krakowie, Katowicach, Bielsku, Warszawie, Skierniewicach itp.

Do roku 1970 zakłady podległe nowemu zjednoczeniu powiększą produkcję przeszło 2,5-krotnie, pokrywając w pełni nie tylko zapotrzebowanie krajowe, ale i oddając do dyspozycji handlu zagranicznego część aparatury na eksport.

Pózwoli to nam już w latach 1966—70 wyeksportować, m. in. do Związku Radzieckiego, około 100 linii technologicznych.

Przede wszystkim specjalizacja!

Poważny wzrost produkcji aparatury i urządzeń na potrzeby chemii możliwy będzie m. in. dzięki rozbudowie Zakładów Przewodów i Armatury w Kielcach, Urządzeń Przemysłowych w Nysie, Zakładów Budowy Maszyn i Aparatury w Krakowie, budowie wielkiego zakładu aparatury chemicznej w Białymstoku.

Poszczególne zakłady specjalizować się będą w produkcji różnych maszyn i narzędzi. Poważnym zapleczem postępu technicznego stanie się Ośrodek konstrukcyjno-badawczy w Krakowie, kierujący wszystkimi badaniami w zakresie aparatury chemicznej w pracowniach fabrycznych, zakładowych oraz biurach projektowych.

Specjalizacja produkcji, koncentracja wyrobów w poszczególnych zakładach i fabrykach, rozbudowane zaplecze naukowo-badawcze, pozwolą na pełniejsze wykorzystanie wszystkich rezerw, na skrócenie drogi „od pomysłu do przemysłu”. I to będzie do wielkiej chemii — maszynowa droga... A zarazem — poważny wkład przemysłu maszynowego w realizację uchwał XV Plenum Partii.

Lesław Tokarski

Drogowskaz działania

Wyobraźcie sobie, że wasz samochód zatrzymali uzbrojeni bandyci. Oddacie im pieniądze, paszport, rewolwer, samochód. Uwolnią się w ten sposób od przyjemnego sąsiedztwa z bandytami. Jest to niewątpliwie kompromis. [...] Ale trudno znaleźć człowieka o zdrowych zmysłach, który by uznał taki kompromis za „niedopuszczalny ze względów zasadniczych” albo ogłosił człowieka, który zawarł taki kompromis, za współnika bandytów...

Słowa te napisał Lenin czterdzieści cztery lata temu, ustosunkowując się do sytuacji w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Nie chodziło mu — rzecz jasna — o pasażerów konkretnego pojazdu. Miał na myśli pasażerów samochodu zwanego historia.

Wkrótce po zwycięstwie Rewolucji Październikowej w Rosji większe i mniejsze grupy przystąpiły w krajach kapitalistycznych do formowania zorganizowanego ruchu komunistycznego i do przeciwstawiania się panującemu tam ustrojowi. Byli to w wielu przypadkach ludzie niezwykle niecierpliwi, którzy — kierując się często jak najlepszą wolą — pragnęli dojść do komunizmu prawie natychmiast, przeskakując wszelkie etapy przejściowe. „Nie brać udziału w parlamentach burżuazyjnych! Nie pracować w ugodowych związkach zawodowych! Nie dopuszczać do żadnych kompromisów!” — to były hasła głoszone przez niektórych „lewicowców” komunistów w Niemczech, w Anglii i w innych krajach.

Lenin pilnie obserwował ruch robotniczy na Zachodzie i oto w kwietniu — maju 1920 r. napisał pracę zatytułowaną „Dziecięca choroba „lewicowości” w komunizmie”. Praca ta jest wykładem marksistowskiej strategii i taktyki, zawierającym wiele myśli i dzisiaj aktualnych. Główny wniosek tej książki bowiem to stwierdzenie, że marksizm nie jest dogmatem, lecz wytyczną działania. Polemizując z „lewicowcami”, Lenin nie tylko ustosunkowuje się do ich poszczególnych błędnych wypowiedzi, lecz jednocześnie na tych przykładach pokazuje, jak w życiu należy stosować i rozwijać teorię Marksa i Engelsa.

Nie brać udziału w parlamentach burżuazyjnych? Nieprawda — odpowiada Lenin. Udział w wyborach parlamentarnych i wykorzystywanie trybuny parlamentarnej jest nieodzowne, aby wychować zacofane warstwy proletariatu miejskiego, aby rozbudzić masę wiejską.

Nie pracować w ugodowych związkach zawodowych? — I to jest niesłuszne stwierdzenie. Nie wystarczy deklamacje i gniewnie okrzyki pod adresem „kontrrewolucyjnych” związków zawodowych. Trzeba prowadzić walkę wewnątrz związków, doprowadzić do skompromitowania i przepędzenia ich prawicowych przywódców. Nie pracować wewnątrz reakcyjnych związków zawodowych znaczy to pozostawić masę robotniczą pod wpływem agentów burżuazji.

Nie zawierać kompromisów? — Przeciwnie, czynić to, gdy zachodzi potrzeba, gdy celem tych kompromisów jest zwycięstwo ruchu rewolucyjnego. „Należy połączyć bezwzględna wierność ideom komunizmu z umiejętnością zdecydowania się na wszystkie konieczne kompromisy praktyczne, na lawirowanie, porozumienia, zygaki, cofanie się itp.” — pisał Lenin. Jednym z przykładów przytoczonych w książce jest pokój brzeski. „Lewicowym” komunistom zdawało się, że jest to kompromis z imperialistami niedopuszczalny i szkodliwy ze względów zasadniczych. Był to rzeczywiście kompromis z imperialistami, lecz zawarcie go w określonych okolicznościach było nieodzowne. W innym miejscu Lenin pisze: „Kto nie dowiódł w praktyce, w ciągu dość znacznego okresu czasu i w dość różnorodnych sytuacjach politycznych, swej umiejętności stosowania tej prawdy w czynach, ten się jeszcze nie nauczył pomagać klasie rewolucyjnej w jej walce o wyzwolenie od wyzyskiwaczy całej ludności pracującej”.

Wielki nacisk położył autor „Dziecięcej choroby „lewicowości” w komunizmie” na konieczność przystosowania teorii marksizmu do warunków poszczególnych krajów. Zadania międzynarodowego ruchu robotniczego są jednolite: obalić burżuazję, doprowadzić do dyktatury proletariatu, przezwyciężyć oportunistów i lewicowców doktrynerstwo wewnątrz ruchu. Lecz realizując te zadania, należy uwzględnić specyfikę każdego kraju. Podstawowe zasady komunizmu są wszędzie te same, lecz należy modyfikować je tak, by dostosować je do różnic narodowych. Formy przejścia lub podejścia do rewolucji proletariackiej mogą być rozmaite.

Lenin podkreślił potrzebę zdecydowanej walki przeciwko dwóm niebezpieczeństwom, zagrażającym ruchowi robotniczemu: przeciwko

prawicowemu oportunizmowi i lewicowemu doktrynerstwu. Niektórzy działacze zapatrzyli się na określone formy rozwoju ruchu robotniczego i kurczowo ich się trzymając, jakby nie widzieli, że warunki obiektywne, w jakich ten ruch działa — zmieniają się. Polityka jest bardziej podobna do algebry, niż do arytmetyki, a jeszcze bardziej do wyższej matematyki. Doktrynerzy zapatrzyli się w prostą, wyuczoną w pierwszej klasie prawdę, że trzy to więcej niż dwa. Ale stare formy ruchu robotniczego zostały wypelnione nową treścią i oto przed cyframi liczb pojawił się znak „minus”. Doktrynerzy jednak wciąż mówią, że „minus trzy” — to więcej niż „minus dwa”.

Gdy Lenin pisał „Dziecięca choroba „lewicowości” w komunizmie”, błąd lewicowego doktrynerstwa nie był tak groźny, jak prawicowy oportunizm. Lenin podkreślał, że ten ostatni jest tysiąc razy bardziej niebezpieczny niż lewicowe wypaczenie. Jednocześnie jednak zwrócił uwagę, że tak jest jedynie dlatego, iż „lewicowy” komunizm był wówczas kierunkiem młodym, dopiero się rodzącym. Fakt, że poświęcił mu odrębną pracę jest jednym z licznych dowodów jego zdolności przewidywania. Dostrzegł i ocenił niebezpieczeństwo już w momencie jego narodzin.

Od chwili, gdy Lenin zasiadł w kwietniu 1920 r. do pisania „Dziecięcej choroby „lewicowości” w komunizmie” minęły lata, w ciągu których marksizm-leninizm — ideologia partii klasy robotniczej — odnosił ogromne sukcesy. Sytuacja się zmieniła; dziś, gdy istnieje potężny system państw socjalistycznych, niepotrzebne są takie kompromisy, o jakich pisał Lenin w 1920 roku. Mówiąc obrazowo — pasażerowie nie muszą dziś oddawać bandytom samochodu i pieniędzy, gdyż zmienili się układ sił. Ale problem postawiony przez Lenina istnieje, jego myśli są aktualne.

W ciągu lat, jakie upłynęły od 1920 r. marksizm-leninizm interpretowany był rozmaicie. Historia międzynarodowego ruchu robotniczego zna wiele sporów na ten temat. I dziś zresztą dyskusje te się toczą. Walka o jednoznaczne pojmowanie ruchu robotniczego jest jednocześnie walką o właściwe pojmowanie marksizmu-leninizmu jako nauki żywej i twórczej, jako drogowskazu działania. W walce tej nieraz jeszcze wracać się będzie do myśli Lenina.

Zbrodnie hitlerowskie nie mogą być traktowane jak zwyczajne przestępstwa

Wywiad z profesorem dr. Tadeuszem Cyprianem

W związku z upływającym w roku przyszłym terminem ścigania zbrodni hitlerowskich w NRF, jak również w związku z przygotowywaniem przez ustawodawstwo polskie przepisów o przedłużeniu terminu ścigania zbrodni hitlerowskich przedstawiciel Zachodniej Agencji Prasowej uzyskał na powyższe tematy wywiad od znanego naukowca — prawnika, jednego z czołowych specjalistów w zakresie ścigania zbrodni wojennych, przedstawiciela Polski w procesie norymberskim — prof. dr. Tadeusza Cypiana.

— Jak wiadomo, w roku przyszłym upływa termin ścigania zbrodni hitlerowskich w NRF. Jaka jest opinia na ten temat Pana Profesora, jako prawnika, w szczególności — jako prawnika, który wiele działał na odcinku ścigania zbrodni wojennych?

Instytucja przedawnienia — biorąc ogólnie — ma w prawie karnym pełne uzasadnienie, ponieważ ściganie przestępstw po kilkudziesięciu latach po ich popełnieniu traci społeczne znaczenie. Poza tym możliwość ścigania po bardzo długim upływie czasu staje się znikoma, ponieważ giną dowody, rozpraszają się świadkowie a wypadki zaciera się w ludzkiej pamięci. Dlatego ustawy wszystkich krajów znają przepisy o przedawnieniu, które najczęściej, gdy idzie o najcięższe przestępstwa, zamykają się w granicach 20 lat, co w tych sprawach wystarcza.

Przestępstwa popełnione przez hitlerowców mają jednak wyjątkowy charakter; ich rozmiar, masowość, bestialstwo i zimne planowanie przekraczają wszelkie granice znane w historii ludzkiej cywilizacji. Wprawdzie i tutaj nie można mówić o ich ściganiu np. po 100 latach, ponieważ nie będzie kogo ścigać i nie będzie kto miał świadczyć o przestępstwach, niemniej jednak zasady prawa karnego dotyczące przedawnienia przestępstw pospolitych mogą okazać się tu niewystarczające.

Wiadomo, że dotychczas uniknęło odpowiedzialności bardzo wielu przestępców wojennych — wymienimy tu choćby Oberländera, Krügera, Mengelego — spośród których

większość żyje sobie spokojnie w Niemieckiej Republice Federalnej. Dopiero w ostatnich latach wiele skandali zmusiło koła rządzące NRF do próby stworzenia sobie alibi w postaci szeregu procesów, jak np. obecny proces frankfurcki, w którym krwawo, ale mali wykonawcy mają być poświęceni dla wykazania, że i w Niemieckiej Republice Federalnej nie toleruje się przestępstw wojennych. Procesy takie równocześnie mają być niejako asekurowaniem ludzi na wysokich stanowiskach, którzy mają brzydkie karty z czasów wojny.

W tej sytuacji, skoro w przyszłym roku upływa w NRF 20-letni termin przedawnienia przestępstw hitlerowskich, sprawa nabiera szczególnej aktualności, ponieważ od tej chwili tysiące przestępców wojennych, którzy dotychczas uniknęli odpowiedzialności karnej w Niemieckiej Republice Federalnej, mimo że się na nich wskazuje palcami, znajdą się poza wszelkim niebezpieczeństwem.

Ale może nie to jest najistotniejsze. Najistotniejsze jest chyba to, że z tą chwilą problem przestępstw wojennych w Niemieckiej Republice Federalnej przestanie istnieć; nie będzie się o tych sprawach pisać ani mówić i czym prędzej się o nich postara zapomnieć.

Ogólnie patrząc na sprawę, nie ulega więc wątpliwości, że aczkolwiek 20-letnie przedawnienie dla najcięższych zbrodni pospolitych jest prawidłowym rozwiązaniem z punktu widzenia prawa karnego, to jednak zbrodnie hitlerowskie przez swój rozmiar i charakter wychodzą

poza te ramy, gdyż w świadomości społeczeństwa nie wystarczy 20 lat dla zatarcia ostrości konturów i stąd problem przedłużenia tego czasu jest ciągle aktualny.

— Z tych założeń wychodząc, jak Pan Profesor ocenia przyjętą przez ustawodawstwo polskie ustawę o przedłużeniu ścigania zbrodni hitlerowskich?

Istotnie, jak prasa donosi, Sejm uchwalił ustawę o przedłużeniu czasu okresu przedawnienia w prawie polskim w stosunku do przestępstw hitlerowskich. Nie wnikając w szczególności trzeba stwierdzić, że sama jej idea wydaje się ze wszelkich miar słuszną. Zbrodnie hitlerowskie aczkolwiek streszczają się w pojęciu kodeksowym do zabójstwa, dręczenia, pozbawiania wolności, grabieży itd., swoimi rozmiarami — jak powiedziałem już wyżej — przekraczają wszelkie ramy kodeksów karnych. Dowodem tego jest choćby stworzenie nowych pojęć prawnych, jak np. pojęcie ludobójstwa, polegające nie na zamordowaniu pewnej ilości ludzi, ale na eksterminacji całych narodów; stworzenie takich pojęć jak organizacja obozów koncentracyjnych, niewolniczej pracy przymusowej itd. Te nowe rodzaje zbrodni uzasadniają nowe koncepcje również i w zakresie przedawnienia, którego uzasadnieniem jest przecież przede wszystkim to, że zbrodni się nie ściga po długim upływie czasu, ponieważ zaciera się ona w świadomości społeczeństwa.

Zbrodnie hitlerowskie w świadomości społeczeństwa po 20 latach nie zatębiały się i wydaje się, że nie przeminęły. Stąd bezkarność ludzi, którzy 20 lat temu dopuścili się ludobójstwa, mordowali i dręcili tysiące ludzi w obozach koncentracyjnych, czy zarabiali miliony na niewolniczej pracy byłaby czymś niezrozumiałym obecnie, gdy od tych czasów upłynęło tylko 20 lat. Może te rzeczy zatarą się za sto lub dwieście lat jak zatębiały się zbrodnie Dżingis-chana, ale dziś jest na to jeszcze za wcześnie.

Sprawa ta posiada jeszcze jeden aspekt. Jeśli chodzi o Polskę, to zdołaliśmy się w okresie dwudziestolecia uporać z tymi przestępcami hitlerowskimi, którzy nam wpadli w ręce, lub których wydanie udało się nam uzyskać bezpośrednio po wojnie. Nie byli to jednak wszyscy poszukiwani przez nas przestępcy, gdyż jak wiadomo, zimna wojna i utworzenie NRF oddaliły możliwości ich ekstradycji. W tej sytuacji omawiana ustawa podkreśla, że społeczeństwo polskie nie rezygnuje z żądania kary dla zbrodniarzy wojennych, do którego to żądania ma pełne prawo.

— Spotyka się twierdzenia, że sprawa przedawnienia, czy nieprzedawnienia, w ogóle sprawa ścigania zbrodni wojennych nie ma już dzisiaj większego znaczenia. Czy Pan Profesor podziela te opinie?

Raczej nie. Problem ścigania hitlerowskich zbrodni ma także po dwudziestu latach swą wagę. Znaczenie tego problemu nie leży już w tym, aby dostać w ręce i osądzić kilkudziesięciu lub kilkaset osób; nie leży nawet w tym, czy winni tych zbrodni skorzystają z przedawnienia w Niemieckiej Republice Federalnej czy nie. Problem leży głębiej. Czy zbrodnie o takim rozmiarze mogą być potraktowane w świecie jak zwyczajne, pospolite zabójstwa, czy nie należy podkreślić ich jednorodności w historii, ich ogólnoludzkiego znaczenia właśnie również i przez przedłużenie okresu przedawnienia o tak długi czas, by choć częściowo ostrość ich konturów uległa poważnemu stopniowi w opinii społeczeństwa świata?

Nie można zapominać, że i znaczenie procesu norymberskiego leży przede wszystkim w sferze moralnej, leży przede wszystkim w podkreśleniu, że wielkie zbrodnie nie uchodzą bezkarnie i że narody świata potrafią stawiać przed sąd ludzi, którzy gwałcą moralny porządek i uniemożliwiają pokojowe współżycie narodów. (ZAP)



Wiosna w Tatrach

ANUJKA

Przemysław Bystrowski

OPOWIADANIE

Czy kto z miejscowych kupił Węgosza — niełatwo stwierdzić. Prawda za to jest, że od razu wszyscy się odwrócili. Kiedy odjechał do powiatu, zaszumiało, gadanie dotarło do Maruty. Znow wyskoczył pierwszy „Swit”, założony podobno dla niepoznaki. Wyciągnięto też zwłokę przy zakładaniu drugiego. Partyjniaki, z którymi godnie pijał, brali teraz na hol. Mówiono: pogrzebią w życiorysie, pogrzebią, aż się z bożą pomocą dogrzebią. U każdego można coś znaleźć, pewnie, po takiej wojnie lecz u niego, ho, ho!... Zaraz łatwiej gadało się Marucie z własną żałogą.

— Reka boska łamie lisa — dyssała Marutowa. — Przepowiadałam, przepowiadałam. Każdej biedzie koniec przyjdzie. Uważaj!

Uważać trzeba było z dwóch stron. O takim, jakiego chciał mieć, niewiele słyszał, choć owszem, nie obyło się i bez tego: W „Kriegsmarinie” doszedł lis do bosmana, rodzinie przesyłał w paczkach południowe owoce, na urlop przywoził żonie pamiątki z Italii, dobrze — lecz i druga strona pociągała ucho: wcześniej, też za Hitlera, przycisnął młodą Niemkę na wydmach, z ludzkiej sprawy członkini Bund Deutsche Maedeln narobiła gwałtu, musiał Węgosz wybierać. I dopiero wtedy: musiał wyjść na pokład pod obcą chorągiew, inaczej groził obóz. Pływał na kutrze torpedowym. W czterdziestym — drugim przewieźli pono całą flotyllę ładem przez Alpy do Włoch. Czy takiego wieszac w partyzanckim lesie, niechby łagodnie: za szyć? We wojnę, tego nie wolno przeoczyć, jedynie ostatnia świnią nie musiała nic. On sam musiał szukać swoich chłopaków w dąbrowie, inny miał co innego do roboty. Niektórym przypało uciekać od pogorzeli. Można tak dalej i dalej. A jeszcze potem — jednych gnało nad morze, innych pod Bornholm aby znaleźć tam mogli ostatnią w życiu minę.

Węgosz nie wracał z powiatu, może dlatego Maruta spokojnie patrzył w przesadzoną jasność w kwestii dziecka. „Kupa” różnorodniała z dnia na dzień, nie ludziła więcej wrażeniem spójności. Czyż możliwe, by brak jednego człowieka mógł tak wszystko pomieszać.

Błąd! Chyba z przepowiedniami i Marutowa: Po kilku tygodniach wrócił rybak z miasta. Połatany budżet w „Nowym Świecie” nie wykazywał więcej dziur, o starym przestało gadać. W dekadę ruszyli utartym korytem: Węgosz jak przedtem, za biurkiem, a Maruta, traktujący się sam trochę inaczej — bliżej reszty.

Zamiast o „Kriegsmarinie” rozmawiano teraz, że morskie rybactwo idzie na psy. Izby przestały pachnieć wędzącym dymem, letników, złażonych tustej fladry, odsyłano do państwowych sklepów na wyschniętego dorsza. Kto z miejscowych podkrał co z socjalistycznej puli, miał pod wódkę, kto nie podkrał, wachał skórę od śledzia, żuł ości. Zarobki topniały, choć w tej i tamtej chatynie stał jeszcze większy grosz i z ręką na sercu kraść — nikt nie musiał. Mniejsza z tym. Maruta szedł na wystarczających obrotach, ręk nie walać cudzym. Popił z własną żałogą, raz, drugi, latem zaoferował kąpielowiczom wyprznięty pokój: tym razem chwyciło na trzy zmiany, wpadło kilka tysięcy, mogli opłacić Anujkę stancję za rok. Nie wygrał z tamtymi ani nie przegrał. Remis. Po prostu „kolchoz” tamtych porozbijał, powsadzał w nieswoje kutry. Podzielił się, pomieszczenia, poszatowali. Naruszona struktura życia sypała piasek w tryby dawnego porządku. Zasobniki wetknęli geby w kubeł, umilkli, pracowali tak-siak, biedni albo

świeżo zbiedniali, pyskowali, robili trochę lepiej. Węgosz założył sobie dobry kaganiec, przestał pyskować. Maruta nie pyskował nigdy. W milczeniu więc stawali powoli naprzeciw siebie. Oni dwaj. Reszta odeszła. Nie miał jej nigdy Maruta, odeszła od Węgosza.

— Bo urzędu nie lubia, powaga niektórych cuchnie; powiadał przewodniczący „Nowego Świtu”.

— Pływać z ludźmi. Razem!... powtórzył Maruta czyjeś słowa.

— Tyś swoje wychodził, ja swego nie wypływam...

— W partyzantce ja już o swoje strzelał (to za „przesiedlaka”, masz, hitlerowska wywłoko!). Rozumiem, że dostałem ja zamiast medalu. Innego nie dali.

— Co mnie dali, ty nie zrozumiesz.

Chciał odpowiedzieć: nie ciekawym; patrzył na tamtego z niechęcią. Nie splunął: urzą.

Najtrudniej jednak zobaczyć to co leży pod ręką.

Marutowa nie wybierała się więcej do swoich, odwiedzała za to w Pucku Anujkę, zawoziła jej czystą bieliznę i trochę prowiantu. Dziewczyna przyjeżdżała na święta i wakacje. Sprawa wyskoczyła tego dnia, kiedy Marutowa przybiegła do portu i zanim wylazł na Kej, wydyssała:

— Był u niej!...

— Kto?

— Głupi! On...

Chciał zaraz lecieć do Węgosza, ale po co? Mógłże odwiedzić ich córke, pewnie że mógł, coż w tym złego? Wcześniej widywała go Anujka kilka razy z oddalenia.

Kiedy Węgosz przylaził na stancję, gospodyni Anujki siadła razem z nim do stołu. Nie pozwoliła by szli na herbatę jak proponował, zasłoniła szkoła: w szóstej klasie dziecko ko ma naukę. „Znałem jej ojca, przyjacielem moim był — przedkładał. — Jej opiekun u mnie robi, nie mogę powiedzieć złego słowa, rybak już...” „Nie opiekun a ojciec. Nie wypuszczę bo wodą jedziecie i słyszałam o was niejedno...” „Obca wy tu, co wam do tego”. „Pieczę trzymam!” „Warujecie jak pies i szczecacie jak pies, żeby wam ino migała!” — Ej, dobrzy ludziska lubelscy, serdeczni.

Lecz czego chciał od dziewczyny? Sąd przynależał im prawo nad małż, zrobili wysiłek i starczyło na szkołę, stancję, dojazdy, choroba się nie wróciła, więc jeśli lis dziewczyny nie chciał skrzywdzić to w jakim kierunku zmierzał? Nie wiadomo. Na półwyspie człowiekowi ani ukradnie ani schowa. Iść — nie iść? A może to nic takiego, babskie gadanie, byle co...

Maruta od tego czasu widywał przewodniczącego nie raz, lecz słowa mu nie powiedział; pomyśleć musi — czuł tak.

Aż popił i poszedł. Zamiast o tym co leżało na wątrobie, zaczął narzekać na sprzęt i przy tym pozostał, bo jakże spieniać się obcemu! Łodzie od lat nieaprawiane marniały, kuter ich parciał, niech przewodniczący zrobi co, bo jeśli przestaną pływać, grosz przestanie iść, a do tego żadną miarą nie chciał wracać.

Po tej rozmowie pogadał z własną żałogą. Wzięli go na bok, pomilczeli,

aż najpoważniejszy przemówił. Wyznał im kiedyś Węgosz, że dziecko rybackie zamierzał odwiedzić, zabrać na ciastka, a obca baba wyrzuciła za drzwi. „Uważaj, uważaj — przestrzegli — teraz staremu może smak na młódki wraca. Wiesz, ta Niemka z „bedeem...”

Zobaczył ją przy nim. Dorodna, jasne warkocz na granatowym fartuchu, dojrzała od rówieśniczek; zaczęła trzynasty rok. On pojeździł, z łapami odymionymi samosiejem i swadem wędzacz. Brzuchaty, charkoczący mową tak dla ucha Maruty niemiła. Boże! Wracał koło kapliczki, pobożnie uchylił czapkę. „Nie dopuść by krzywda stanęła między nami”.

Nadał ważył w sobie nieodbyta rozmowę z Węgoszem i bał się nieśczęścia. Po pewnym czasie ustalił, że roztropniej będzie zamilczeć. Pyskiem trudno świat zmieniać.

— Nie chcesz, pójdę ja, żonie jego opowiem...

— Z czym pójdiesz?

— Austriackie gadanie...

— Nie ma sprawy. Dość! — krzyknął. Raz on stawał na swoim.

— Pojedziesz, o tak, zamieszkaż przy niej. Dopilnujesz.

— Dodatkowy wydatek, to miasto — patrzyła nań, uspokojona już.

— Zaoszczędzimy za to na dojazdach.

— A kto będzie przy tobie, biedaku — wezbrała w niej czułość. — Zadziobia, rady nie dasz, powinieś dbać o siebie... A i piaseczek w ogródku nie uprawiony...

— Piaseczek da co, poczekaj. Będę jadał w stołówce jak kawaler.

Szczupłe jego ramiona przycisnęła do piersi, ledwo się wymotał. Ale odjechała i stracił ją na teraz. Stracił więc i ją, wszystko oddał dziecku, bo pragnął być tu. Nie miał dokąd wracać. Życie mu się zespilo z płazową znajdą, a jeśli z Węgoszem nie gadał, to dlatego, że nie chciał przez Anujkę utracić tego, czego przez nią wypatrywał.

Z chwilą roztoczenia opieki Marutowej nad dzieckiem, szansę między nimi do reszty się wyrównały. Remis trwał. Sam był już z fachu, poza tym „kupa” została rozbita. Nie wiedział tylko, czy przyszło im obu iść już ku sobie, on w każdym razie gotów był ku niemu podpyływać. Może być jednak bieda z Węgoszem od lat kutra nie uznającym. Pyskował dawniej za trzech, grał fachmana, teraz po zatoczce wiośłami co najwyżej pomachał — więcej nic.

— Dlaczego?

— Cholera go wie. Wojna — gada.

Ona więc też miała swój udział w nim. Jaki? — te sprawy nie bardzo obchodziły Marutę, który został szyprem na średnim kutrze w średnim stanie.

Jesienią nastały sztormy nieapamiętane od wtedy, kiedy to sosenkę im zabrało i urwało pięć metrów terenu. Utopiło się dwóch, wywołili, wszyscy poszli na pogrzeb. Węgosz przemawiał nad trumnami, głos mu się łamał na wspomnienie o ratowaniu. Nie, sam nie wyszedł z pomocą, niewiele mógł powiedzieć, ale o temat zahaczył.

Maruta czuł, że musi ciągle iść na spotkanie z nim, jak dawniej musiał

iść w partyzancki las, jak dziecku podać rękę nad zeschniętym żarowcem. Przesiadywał teraz sam w chłodnej izbie, z ciężkimi myślami, czekał na poprawę pogody, ponieważ zapowiedziano daleką turę. Trzaskały nocą okiennice, w wygasłym piecu hulał wiatr.

Sztormy ustały z pierwszym śniegiem, nadchodziły święta, przyjechała Marutowa z Pucka z Anujką. W dziewczynie zaszły zmiany: popatrzyła z ukosa mową z wyraźniejszym miejscowym akcentem niż dawniej. Wydorosła: dostała nieświeżą cerę i długie nogi. Zapoczątkowane krągłości jakby rozpięto na wieszaku.

Tań uczucie zawodu z tego stanu rzeczy dzięki świadomości, że znów są razem, że izba porządnie ogrzana; sam nie musiał biegać już po gospodach za talerzem zupy. Mrozy trzymały córę blisko obejścia. Dom pojaśniał: szykowano na Boże Narodzenie placki, strucle i oprawiano rybe.

Dni do Nowego Roku upłynęły nie wiedzieć jak. Przed świętami dano znać, że wyjazd nastąpi pierwszego

i aby być gotowym; od północy szła fala spokoju. Przygotować zatem sprzęt, prowiant, żałogę. Trochę z tym uganiania, wreszcie na Sylwestra trzeba się było żegnać. Rano mieli wychodzić na łowiska koło Irlandii po atlantyckiego matiasa.

Z niedużej wieji, idącej przy samej ziemi pod wygwieżdżonym niebem, z głębokiej nocy i huku wody, do którego Maruta zdążył przywyknąć, przyszedł Węgosz. Otrząpiał ze śniegu buty w sionce. Od razu źle trafił: skreślił w prawo. Wyszedł do sieni zwabieni hałasem, wracał właśnie z ciemnej izby, latem odnajmowanej. Teraz wałowały się tam sieci.

— Trudno jakoś do was dobić, ślady w lesie przykryło, a i tu czarno...

— Kto drogi nie szuka ten nie znajduje...

Posadzili za stołem. Wypadło tak, że Anujka wzięła miejsce przy nim. Maruta chciał zmienić porządek rzeczy, lecz jak zmieniać, kiedy to gość, przewodniczący, zresztą dla niepoznaki obojętne kto przy kim.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Eugeniusz Paukszt

Z witryny „Czytelnika”

Jak pisze Stanisław Pigoń, autor zbioru i opracowania: „Adama Mickiewicza „Listów, dedykacji, notał nie objętych wydaniem książkowym”, oba powojenne wydania zbiorowe dzieł poety sprawiły, iż z ukrycia po różnych zbiorach wylaniać się poczęły pozycje nowe, zapomniane albo w ogóle jeszcze nieznanne. One to złożyły się na wcale okazały zbiorek 19 listów oraz kilkunastu dedykacji i notał Mickiewicza, nie ujętych w wydaniu jubileuszowym z r. 1955. Dopiero obecnie można więc powiedzieć, iż cały znany dorobek poety został przekazany odbiorcy. Jak zaś ważne są nawet takie pozorne drobaczki, jak przybliżają sylwetkę pisarza, świadczyć może lektura tego pięknie wydane go tomiku.

Z przekładów „czytelnikowskich” należałoby zwrócić szczególną uwagę na kapitalną powieść Ericha Kuby Hura! Hura!, w przekładzie Teresy Jedrkiewicz. Jest to powieść wojenna, dzieje drużyny saperskiej na Wale Zachodnim w roku 1939 i później, w trakcie ataku na Francję. Czytelnika polskiego zaciekawia częste nawroty do wspomnień z kampanii polskiej. Kuby doskonale zna klimat armii hitlerowskiej, poznał go dobrze na własnej skórze jako żołnierz Wehrmachtu, nie tylko podpatruje w sposób wnikliwy, ale i ocenia, nieraz bardzo surowo. Dynamika, ciekawe konflikty, panoramistyczne ujęcia, to dodatkowe atrybuty tej powieści.

Mało znana literatura jugosłowiańska reprezentuje wydany obecnie tom Miodraga Bulaiowicia „Czerwony kogut leci wprost do nieba”, psychologiczna powieść, która znalazła szeroki rozgłos europejski. Osobliwa to proza, gęsto nasycona niezwykłością, uduchowiona, tak w malunku świata wsi czarnogórskiej, jak ludzkich, poamawianych spraw. Od subtelnych, lirycznych partii autor przechodzi do opisów przejmujących brutalizmem i witalnością, by za chwile znów zanurzyć się w jakąś napol baśniową aure osoblwych przeżyć swych niemniej osobliwych bohaterów. A przy tym jest to proza bardzo humanistyczna, zatroskana ludzkim losem.

W przekładzie Jerzego Brzeczowskiego otrzymaliśmy nowy tom wspomnień Włodzimierza Gilerowskiego „Moje miasto”. Autor „Moich wędrowek”, w nowym tomie snuje ciekawe, barwne wspomnienia związane z Moskwą i jej mieszkańcami na przełomie wieków. Olbrzymia skala zainteresowań, znajomość w najbardziej różnorodnych środowiskach, swoisty, pełen leciutko zabarwionego nutka liryczna ton pogodnego humoru, a przy tym talent pisarski sprawiają, iż zapiski Gilarowskiego czyta się z zainteresowaniem.

Pisarska spółka Aliny i Czesława Centkiewiczów nie może narzekać na brak odbioru czytelniczego. Nowe, znacznie poszerzone wydanie „Tajemnic szóstego kontynentu”, opowieści o Antarkydzie, na pewno nie będzie zalegać na półkach księgarskich. Ale też Centkiewiczowie umieli znaleźć barwny sposób podania czytelnikowi multum wiedzy o bieżących okolicach. Dzieje dawnych wypraw, perspektywy przyszłości, losy zmagających się siły, na pewno nie będzie zalegać na półkach księgarskich. Ale też Centkiewiczowie umieli znaleźć barwny sposób podania czytelnikowi multum wiedzy o bieżących okolicach. Dzieje dawnych wypraw, perspektywy przyszłości, losy zmagających się siły, na pewno nie będzie zalegać na półkach księgarskich.

Zalecałbym także czytelnikom nową powieść Stanisława Łukasiewicza „Rodowód”. Tym razem autor sięga po swoje młode lata, w okresie 1916 — 1930, z typową dla siebie kronikarską, aż nużącą niekiedy dokładnością szczegółu, odtwarzając klimat tamtego okresu. Niewątpliwymi zaletami tego autobiograficznego tomu są żywa narracja i dominująca nad całością aura prawdy, rzeczywistego przeżycia, bez żadnych sztucznych zabarwień i literackiej oprawy faktów. Łukasiewicz jest sumiennym, a nader sumiennym obserwatorem i w tym tkwi jego siła.

Dla zbieraczy serii wydawniczych mam dwie miłe nowiny. Oto w cyklu „Głów wawelskich” ukazało się nowe wydanie „Dziwcząt z Nowolipiek” Poli Gojawiczyńskiej, najlepszej chyba powieści autorki tak bardzo związanej z ludźmi i ze swoją rodziną Warszawa. Drugą nowiną, to ukazanie się prawdziwego rarytasu, miniaturowej książeczki z cyklu „Poeci polscy”. Tym razem zaprezentowany został w trafny wybór Leopold Staff. Tomik opracował graficznie Andrzej Heidrich.

Z KSIĄŻKA NA TY

Przegląd prasy

W najświeższym numerze „Kultury” ukazał się felieton (pod stałym tytułem „Tak i nie”) Jana Szeląga. Ze względu na oryginalne i interesujące myśli autora, zdecydowaliśmy się tym razem zrezygnować z omawiania kilku pozycji z różnych czasopism.

Autor zaczyna swój felieton od stwierdzenia, że Polska jest krajem pokrytym tak gęstą siecią komunikacji, że wieści — te utrwalone na papierze — powinny krążyć bez żadnych przeszkód. Tymczasem...

„Zacny „Ruch” prowadzi teraz chwalebna, piękną akcję zakładania klubów prasy i książek na wsi. Jest to akcja ogromnie ważna. Ale czy nie należałoby pomyśleć, ażeby w jej — jak to się mówi — ramach założyć jeden specjalny klub w mieście?

Myślę o mieście Warszawie, gdzie jest kilka klubów prasy międzynarodowej, a nie ma ani jednego klubu prasy krajowej. No, takiego klubu, w którym można by przeczytać wszystkie dzienniki w Polsce ukazujące się i ważniejsze czasopisma i stołeczne, i prowincjonalne (przepraszam teren za to wyrażenie, ale nie używam go bynajmniej w sensie ujemnym). Z czasem trzeba by pomyśleć o założeniu podobnych klubów choćby w każdym mieście wojewódzkim. (...) Ktoś zapyta, czy rzecz taka warta jest zachodu, czy ta nasza prasa prowincjonalna, przepraszam, terenowa, dość interesująca, żeby podejmować taki trud. Rzeczywiście, tak na oko, to nasza prasa terenowa nie wygląda imponująco. Po prostu ubożuchno. Z pewnymi małymi wyjątkami, jak na przykład „Trybuna Robotnicza”. Gdy mówi się o ograniczeniach papierowych, jako przykłady podaje się przeważnie pisma stołeczne. A mnie się wydaje, że te ograniczenia są właśnie najboleśniej tam, w dalekim od stolicy terenie, gdzie gazeta miejscowa ma do odegrania tak olbrzymią rolę, a została, niestety, wprowadzona do bardzo chudych rozmiarów. Przyznam się, że najbar-

dziej mnie sprawa papieru boli, gdy wezmę do ręki taką gazeczną wojewódzką czy powiatową, której redaktorzy muszą się aż skrecać, żeby w niej cokolwiek pomieścić. A ta gazeta przecież przede wszystkim dociera do najdalejzych zakątków kraju, do wsi, do owych właśnie „ruchowskich” nowych klubów.

Wiem, obruszą się może nasze warszawskie potęgi prasowe, koledy z tak znanych dzienników i czasopism. Ale powiem szczerze: mnie się wydaje, że jeśli nasza rola papieru kiedyś jednak stanie się grubsza, to strumień tego papieru gazetowego powinien w dużej części popłynąć na ową prowincję. Gazety centralne odgrywają wielką rolę, ale tam, na skromnych terenach odcinkach toczy się bezpośrednia, jakże doniosła walka o ludzką świadomość, o podniesienie poziomu politycznego i kulturalnego szerokiego mas. (...) Niedawno miałem możność na przykładach wielu wycinków przekonać się, jak żywe jest jej (prasy terenowej — dop. lektora) zainteresowanie, jak żywe są jej reakcje na tak ważną sprawę, jak ukazywanie się książek. Z notatek tej prasy, z krótkich recenzji,

nie mających co prawda pretensji do pogłębiania spraw, widać, jak wielkim wydarzeniem w owym terenie jest każda, ukazująca się nowa książka. Ta książka, która w Warszawie jest witana przejawnie burzą milczenia.

Zabawny bywa stosunek naszych dzienników warszawskich do spraw sztuki. Czyście zauważyli, że większość miejsca poświęca się tutaj sprawom teatru? (...) Nie ma sztuki ważnej lub mniej ważnej, która by nie została szczegółowo omówiona. I to nie pokrótce, ale w wielkich, ko-bylastych recenzjach. Taką sztukę teatralną ogląda czasami zaledwie parę tysięcy osób. Czytać o niej muszą setki tysięcy. Z książką odwrotnie: czytają ją setki tysięcy, a nie pisze się o niej wcale, albo bardzo krótko.

Niektóre dzienniki mają zbiorcze tygodniowe omówienia programów telewizyjnych. I to wszystko. Jeśli znajdziemy gdzieś oddzielną recenzję, to dotyczy ona... teatru, telewizji. Przy czym reguła jest taka, że teatr telewizji relacjonuje się dziesięć razy krócej, niż teatr normalny. No tak, przecież telewizję oglądają miliony. O radiu oczywiście

nikt nawet nie wspomina. Filmy recenzuje się tylko niektóre. Tylko teatr, teatr przede wszystkim!

Powtarzam, jest to skądinąd bardzo miłe. Rola teatru pozostaje oczywiście bardzo duża w sztuce i w oddziaływaniu społecznym. Jednocześnie jednak nie można nie zauważyć, że jest coś niepokojąco staroświeckiego w tym zapatrzeniu się w teatr, w tym niedostrzeganiu, że świat poszedł naprzód, że już dawno bracia Lumiere dokonali swego wynalazku, że mamy w Polsce ponad cztery miliony aparatów radiowych i milion dwieście tysięcy telewizorów.

(...) Nasze dzienniki prowincjonalne pod tym względem wydają się bardziej nowoczesne. Nie ma tam bowiem tylu okazji do pisanie recenzji: premiery odbywają się rzadziej. Stąd zwracanie większej uwagi na rolę i znaczenie książki. To ciekawe przemieszenie epok.

Warto, na pewno warto, otworzyć w Warszawie ten Ogólnokrajowy Klub Prasy. I trochę poczytać sobie, co piszą i co myślą w kraju.”

LEKTOR